



## Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICJI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

**Treść Numeru:** Miggles—Wiara, miłość, nadzieja (wiersz). — Obrazki Warszawskie, przez Jana Kantego Gregorowicza (dalszy ciąg). — Wiedeń i życie wiedeńskie, przez Wiktora Tisso (dalszy ciąg). — Korespondencya ze Lwowa (dokończenie). **W dodatku:** Katy Coventry, przez J. G. Whyte Melville, przekład z Angielskiego K. P. (dalszy ciąg).

## MIGGLES.

Z BRET-HARTE'A

przekład

W. Z. Kościakowskiej.

—\*~\*~\*~\*

Ośmiu nas było z woźnicą włącznie, ale dopóki gwałtowne szarpnięcie dyliżansu nie przecięło w połowie frazes wypowiedziany przez sędziego, nie zamieniliśmy z sobą ani słowa. Siedzący obok sędziego wysoki podróżny, drzemał z ręką zawieszoną na pasie powozu a głowę wspartą na ręce; umieszczona na tylnym siedzeniu dama, francuzka, przysłoniła na wpół chustką, senną twarz swoją a dama Wirginii City, podróżująca z małżonkiem zniknęła wśród stosu wstążek, woalów, szalów i futer. Ciszę przerywał turkot kół i pluskanie deszczu po pudle dyliżansu, zmrok oddawna zapadać zaczął — nagle zatrzymaliśmy się. Z drogi doleciały nas głosy jakieś, woźnica rozprawił z kimś z ożywieniem, a uszu naszych dochodziły słowa:

— Grobla zalana, woda podniosła się na stóp dwanaście, nie przejedziecie!

Ucichło. Znow dyliżans zachwiał się a nieznanym głosem udzielił na odjezdem radę:

— Sprobujcie do Miggles.

Gdzie i kto był Miggles? Sędzia znający całą okolicę i używający wśród nas pewnej powagi, nie przypominał sobie aby z tą nazwą się spotykał. Wysoki podróżny przypuszczał że nazwa ta oznaczała przydrożną austeryę lub właściciela takowej. To tylko wiedzieliśmy na pewno, że noc zapadała coraz głębsza, że przed nami rozciągały

się nieprzebyte wody, że deszcz lał ulewny i że jedyne przedstawiające się nam schronienie nosiło nazwę Miggles. Po dziesięciu minutach brodzenia raczej w kałuży, niż jechania przez wąską, drożynę, dobiliśmy do bramy wykutej w murze mającym z ośm stóp wysokości.

Widocznie nie była to karczma.

Woźnica zszedł z kozła i próbował otworzyć bramę. Na rygle była zawartą.

— Miggles! hej! Miggles.

Nie było odpowiedzi.

— Miggles! hej! hej! Kto tam jest niech odpowiada, ciągnął niecierpliwie się.

Milczenie.

— Miggles'y, dorzucał przekonywającym tonem konduktor.

Nieczuły na prośby i nawoływania mieszkancie zagrody nie dawał znaku życia. Sędzia wychylając głowę przez okno dyliżansu niezliczone zadawał pytania, na najrozmaitsze puszczał się domysły. Bill, woźnica odpowiadał kwaśno że „jeśli nie chcemy przesiedzieć w dyliżansie wśród drogi noc całą, lepiej byśmy zrobili pomagając mu szturmować do zamkniętych wrót. Wysiedliśmy tedy, i zaraz zabrzmiało zgodnym chórem:

— Miggles! Mig!

Z głębi dyliżansu, z potężnych piersi wysokiego podróżnego rozległo się przeciągłe solo:

— Maj-ge-les.

Roześmieliśmy się. Bill przerwał nam wybuch wesołości i syknął:

— Cyt!

Wysłuchaliśmy się. Ku wielkiemu naszemu zdziwieniu z wnętrza zagrody odpowiadało nam echo, wiernie naśladując głosy nasze.

— Dziwne echo! mruknął sędzia.

— Niegodziwe tchórzysko! mruczał w złości Bill i łagodniejszym dodawał głosem:

— Wyjdz no, wyjdz proszę Miggles, otwórz

drzwi, nie zjemy cię przecie, będąc na twoim miejscu wstydziłbym się doprawdy.

Próżne namowy. Po tamtej stronie muru ten sam co w pierwszej głos powtarzał:

— Miggles! Miggy!

— Łaskawy panie, wszczął znow sędzia, zważ na niegościnnosc, na nieludzkość nawet odmowy przytułku podróżnym w liczbie których znajdują się nawet damy.

Nic wszystko nie pomagało, wyczerpała się wreszcie cierpliwość Billa. Podjął przy drodze leżący kamień, drzwi nim wysadził, wszedł do wnętrza zagrody, konduktor za nim, a my poszliśmy w ich ślady. Wewnątrz zagrody pusto było i cicho.. Wnosząc z woni róż rozlewającej się w powietrzu, przebywać musieliśmy ogród.

— A czy znacie tego tam... Miggles'a spytał sędzia.

— Nie, i znać nie chcę, odparł kwaśno Bill, uczuwając głęboko zniewagę wyrządzoną w osobie jego, całej prześwietnej kompanii dyliżansów przez niegościnnego właściciela zagrody.

— To coż będzie? zapytał sędzia niespokojny o skutki gwałtu na drzwiach zrobionego.

— Więc czekaj pan na drodze aż cię kto przedstawi temu niegodziwcowi, przerwał mu Bill.

Mówiąc to otworzył drzwi niskiego, długiego budynku.

Podłużną komnatę słabo rozświetlały gasnące w głębi jej na kominie węgle. Dziwaczne jakieś obicia pokrywały ściany. Przy kominie w głębokim fotelu rysowała się ludzka jakaś postać.

— Tyś Miggles, spytał Bill?

Postać zagłębiona w fotelu pozostała nieruchomą. Rozgniewany Bill zwrócił na nią światło latarni którą niósł w ręku.

Był to mężczyzna z twarzą przedwcześnie zwiądłą i zmarszczoną, szeroko roztworzone jego żreni-



ce patrzyły przed siebie poważnie i smutnie. Wzrost zagadkowy przeniósł się z twarzy Billa na łarnię i utkwiał w promieniu światła.

Bill do ostateczności zniecierpliwiony wybuchnął.

— Czyś ty głuchy Miggles! no! odpowiadajże! Czyś ty niemy?

Porwał za ramię siedzącego w fotelu mężczyznę, wstrząsnął nim i jak gdyby rozstrząsnął go całego, postać opadła bezwładnie nękając prawie śród odzieży.

— Do kaduka! mruknął cofając się Bill. Podnieśliśmy i usadziliśmy nanowo dziwnego tego mieszkańca mileżącego domostwa. Ktoś przecie musiał być w pobliżu: niepodobna było przypuszczać aby ten paralytyk obejść się mógł bez opieki i pomocy. Wysłaliśmy tedy Billa na oględziny, sami otoczyliśmy komin. Sędzia odzyskując zwykłą swą uprzejmość, zwrócony plecami do ognia przemówił do nas tak jak gdyby zagajał posiedzenie przysięgłych:

— Oczywiście, rzekł — zacny obywatel którego mamy przed sobą, znajduje się w kondycji o jakiej napomyka Szekspir: „zwiędły jak liść opadły.“ Przyczyny niewiadome nam zakłóciły przedwcześnie moralną i fizyczną równowagę jego istnienia. Jedno pozostaje pytanie: czy jest on albo nie jest Miggles'em?

Zaledwie słów tych domawiał sędzia, rozległ się ten sam głos tuż przy nas, któryśmy wprzód z za bramy słyszeli i wołać zaczął:

— Miggles! Mig!

Spojrzelśmy po sobie z pewnem przerażeniem. Sędzia odskoczył od kominka z kąd głos zdawał się wychodzić. Wysoko, na półce nad kominem siedziała sroka. Ona to odpowiadała gdyśmy u drzwi zamkniętych ślali we wnętrze zagrody błagalne nasze prośby. Rzecz się wyjaśniła i biedny paralytyk wolnym był od zarzutu brania udziału w tem co Bill poczytywał za „niegodziwe drwiny.“ Teraz nie mógł już wprawdzie zaprzeczyć istnienia sroki, tem niemniej wróciwszy z bezowocnych poszukiwań po domostwie całym, nieufnie spoglądał na paralytyka.

— O dziesięć mil w około nie znaleźć żywej duszy, mrucał, niby ten przeklęty niedołęga nie wie o tem.

Nie skończył jeszcze szemrać gdy się dał słyszeć chód przyspieszony, drzwi otworzyły się, i bez najmniejszego zakłopotania się lub nieśmiałości, wbiegła do pokoju młoda kobieta. Oparła się o drzwi zmęczona i szybko oddychając zawołała:

— Jestem, jestem Miggles!

To więc była Miggles! Ta czarnooka, urodziwa niewiasta. Rozwinięte kształty jej kibici uwydatniała zmoczona odzież z ordynaryjnej błękitnej materii. Od kasztanowatych jej włosów okrytych wpół ceratową czapeczką, do drobnej nóżki nękającej w męzkim obuwiu, wszystko w niej było wdzięczne i powabne. To więc była Miggles; czarodziejka ta śmiejąca się płocho, wesoła a tak serdecznie i szczerze.

— Otóż macie mnie chłopcy, mówiła z przyspieszonym oddechem, nie zważając wcale na nasze pomieszanie i osłupiając mię Billa. Otóż macie mnie. Tak jak mnie widzicie byłam o dwie mile ztąd gdyście przez drogę przejeżdżali, wiedząc że tu nie ma nikogo, musiałam biedz co tchu stało, to też... przyjść do siebie nie mogę.

Zdjęła z głowy czapeczkę, strząsnęła z niej prosto nam w oczy kropie rzęśiste deszczu, odrzuciła w tył spadające jej na czoło włosy, uroniła przytem parę utrzymujących jej warkoczki śpilek, rozśmiała

się siadając obok Billa z niewymuszonym wdziękiem spuściła ręce na kolana.

Pierwszy odzyskał przytomność sędzia i już miał wystąpić z jakąś grzecznością, gdy mu przerwała:

— Proszę o podanie tej tam upadłej śpilki.

Kilka par rąk wyciągnęło się z gotowością spełnienia jej prośby. Gdy śpilka wróciła na swe miejsce w bujnym kasztanowatym warkoczku, Miggles' zbliżyła się do paralytyka pochylając ręce nad nim z czułością. We wzroku chorego biedaka mignęły niedostrzeżone dotąd przez nas, myśl i uczucie. Miggles roześmiała się znowu. Dźwięczny to był, głośny śmiech, prosto z serca płynący, wprost też za serce chwycił.

— Kto jest ta cierpieniem dotknięta osoba? zapytał sędzia.

— To Gim, odrzekła Miggles.

— Ojciec?

— Nie.

— Brat?

— Nie.

— Małżonek?

— Nie.

Szybkie, nieufne rzuciła spojrzenie na znajdującą się tam kobiety, nie dzielące bynajmniej miłego wrażenia, jakie na nas, mężczyznach, wywarło zjawienie się Miggles.

— To Gim, odpowiedziała sucho.

Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia. Damy przysunęły się bliżej ku sobie, małżonek damy z Wirginii City z natężoną uwagą wpatrywał się w płonący na kominku ogień, wysoki podróżny słał melancholijne spojrzenia w okna i ciemną noc po za nimi rozlegającą się. Wesoły śmiech naszej gosposi wyprowadził nas z kłopotu.

— Do pomocy chłopcy! zawołała dziarsko, urządzimy wieczerzę.

Nie brakło na ochotnikach. W parę minut potem Bill, nowy niby Kaliban zaprzężony w służbę uroczej Mirandy, dźwigał kłodę drzewa i rozniecał ogień na kominku. Konduktor mleł kawę, ja sam krajałem słoninę na cienkie płatki, gdy uprzejmy sędzia udzielał wszystkim rad i pomagał gosposi zastawiać stół nie wykwinłem, glinianem naczyniem. Mimo deszczu dzwoniącego po szybach i wiatru jęczącego w kominie, mimo szeptów dwóch dam tulących się w jak najdalszym kącie pokoju, mimo milczącej sroki przysłuchującej się ze swej półki, zasiedliśmy do wieczerzy wesoło i gwarno. Przy rozpalonym teraz jasno ogniu mogliśmy oglądać całą komnatę. Obitą była dokoła ilustrowanemi stronicami różnych dzienników, umeblowaną zaś pudłami przeróżnego kształtu i kalibru pokrytymi jasną materią lub skórą zwierzęcymi. Nawet fotel paralytyka zrobionym był z beczki. Dziwaczemu temu umeblowaniu przewodniczył dobry smak, wszystko połyskiwało największą czystością.

U stołu gwarzono wesoło.

Mówiliśmy o drodze, o celach naszej podróży, o sobie, o innych, słowem o wszystkim oprócz o naszej gosposi i jej chorym towarzyszu. Trzeba wyznać że sposób wyrażania się Miggles nie odznaczał się szczególną wykwinnością. Używała nawet czasem słów dosadnych, wyłącznie czerpanych w męzkim, koleżeńskim słowniku, mimo to mówiła z takim wdziękiem, z taką rzewnością i z tak prześlicznym błyskiem ciemnych źrenic i białych zębów, śmiała się przytem tak serdecznie, że doprawdy promieniała całą jasnym i czystym jakimś promieniem.

Za drzwiami dało się słyszeć tarcie o ściany, skomlenie i głośne sapanie.

— To Joaquim, objaśniła Miggles, pokażę go wam jeśli chcecie.

Mówiąc to otworzyła drzwi i zaraz ukazał się w nich młody niedźwiadek, wszedł na dwóch łapach wdzięcząc do swej pani, przyczem uderzająco podobnym był do Billa.

— Stróż to mój i przyjaciel, mówiła głaszcząc go Miggles.

— O! on nie kasa, dodała uspakajając przerażone damy. Wszak ty nie kaszasz. mój dobry stary? Dobrze się dla was złożyło żeście przybywszy tu i łamiąc mi u drzwi zamki, nie zastali w domu Joaquina. Oj! byłoby wam było.

— Gdzież był wówczas Joaquim? spytał sędzia?

— Ze mną, w lesie, odrzekła Miggles. Prawdziwa to pociecha jak ze mną chodzi w nocy po lesie i po drogach. Zupełnie jak towarzysz człowiek. Ot tak ręka w łapie.

Przez minut kilka trwało milczenie. Wiatr wył na dworze, deszcz dzwonił po szybach a przed myślą naszą rysował się obraz idącej przez las ciemną nocą Miggles, w towarzystwie i pod opieką „ręka w łapie“ kudłatego *ursa minor*.

Sędzia niesłowny w wierności swej dla klasyków, począł coś z nich wywodzić, lecz Miggles przyjęła to jak i inne grzeczności bardzo obojętnie. Może nie spostrzegła nawet wrażenia jakie na nas wywarła, jakkolwiek trudno było nie widzieć co najmniej już uwielbienia z jakim Bill spoglądał na nią.

Wejście niedźwidzia nie przyniło się bynajmniej do ułagodzenia obecnych dam. Wiał od nich chłód mroźny i mimo płonących na kominie suchych gałęzi, oddziaływał na resztę towarzystwa. Spostrzegając to Miggles zrobiła uwagę że pora spocząć i zaprosiła panie do przyległego pokoju.

Chociaż ciekawość uważaną pospolicie bywa za monopol płci pięknej, zaledwie drzwi się zamknęły za kobietami, my mężczyźni przedstawiający połowę rodu ludzkiego doskonalszą, zebraliśmy się przy kominie puszczać wedze domysłem, uśmiechom, przeróżnym przypuszczeniom.

Być może żeśmy nawet niedelikatnością naszą dokuczili biednemu paralytykowi siedzącemu pośród nas jak Memnon bez głosu, jak widmo przeszłości przypatrujące się z tajemniczym i niezachwianym spokojem płonnym zabiegom terażniejszości. Rozmowa toczyła się pół głosem lecz z ożywieniem, wtem wróciła Miggles z przyległego pokoju.

Lecz jakże była zmieniona! Cóż tam zająć mogło w tych kilku chwilach, co tak zmąciło jej swobodę, wesołość i śmiałość? Teraz oczy miała spuszczone, stała na progu z szalem zawieszonym na ręku, wahała się jakaś, niepewna. Przysunęła wreszcie stołek do fotelu Gima i wskazując drzwi przyległej komnaty od niechcenia niby rzekła:

— Widzicie chłopcy, na ciasnych jesteście tu kwaterach, tam miejsca dla mnie nie stało. Mówiąc to z wymuszoną wesołością ujęła schorzałą, bezwładną dłoń paralytyka i zwróciła twarz ku dogorywającemu na kominie ogniu. Milczeliśmy czekając dalszego ciągu zapowiedzianych przez te następne słowa zwierzeń, odpowiedzi na te tysiączne domysły i pytania, któreśmy sobie dopiero zadawali, a które może bacznie pochwyliła uchem. Deszcz nie przestawał dzwonić po szybach, wiatr wpadając w komin podnosił iskry, ogień przez chwilę z nową płonął siłą i znow opadał na rozpalone żużle orzucając komnatę długimi smugami światła i cieniów.

Miggles podniosła głowę, odrzuciła z czoła opadające nań włosy i zwracając się do nas spytała:



— Czy który z was nie zna mię przypadkiem? Nie! odpowiedzieliśmy.

— Przypomnijcie sobie chłopcy. W 1853 roku mieszkałam w Marysoille. Wszyscy mię znali, utrzymywałam salę znaną pod nazwą polkowej sali. Było to dawno.. temu lat sześć... zmieniałam się od tej pory..

Czy zmieszało ją to żeśmy jej nie poznali, czy inne jakie opanowały ją uczucia i wspomnienia, ale wpatrzyła się w ogień i przeszło długich minut kilka zanim znowu głos zabrała.

— Sądziłam że mię ktokolwiek z was pozna, nikt nie poznał... nic w tem zresztą nie ma dziwnego... i nie o tem miałam mówić. Gim... Tu ujęła w obie dłonie rękę paralityka i ciągnęła miętko.

— Gim znał mię, wiele stracił pieniędzy, myślę że stracił wszystko co posiadał. Raz, będzie temu lat sześć, przyszedł do mnie, usiadł na kanapie, i już nie wstał o własnych siłach. Wezwani doktorowie utrzymywali że to nie przyszło nagle, bez przyczyn, że się do tego przyczyniło poprzednie jego życie. Co bo też on dokazywał! Mówili że prędko nie wyzdrowieje i radzili odesłać go do szpitala. Czy w spojrzeniu Gima było coś takiego co mię wzruszyło do głębi, czy też że nie miałam dziecka którebym mogła pielęgnować, ale stanowczo odpowiedziałam lekarzom „nie, nie odesłę go do szpitala“. Bogatą byłam wówczas, wyprzedałam się i nabyłam to oddalone domostwo gdzie osiadłam... z mojem dzieckiem.

Powodowana kobiecem uczuciem, mówiąc to powstała z miejsca i cofając się za fotel Gima pozostała w cieniu. Między nią a nami była postać paralityka osłaniająca czyny jej życia. Oniemiały, bezwładny, niemniej jednak wymownie wstawiał się za nią. Dotknięty i skruszony dłonią Pańską niemniej jednak otaczał kobietę tę niewidzialnej opieki sumieniem.

Skryta w cieniu, nie wypuszczając z dłoni swych ręki „swego dziecka“ Miggles ciągnęła;

— Wiele przeszło czasu nim oswoiłam się z nowym trybem życia. Przyzwyczajona do ludzi, do gwaru, do zabaw, nie mogłam wezwać do pomocy żadnej kobiecej duszy... żadna by nie przyszła... Z czasem poblizcy Indianie najmować się u mnie zaczęli do cięższych robót, niezbyt odległe miasto dostarcza mi potrzebnych produktów i oto Gim i ja żyjemy jakoś. Raz przejeżdżający tędy doktor wstąpił do mnie dowiedzieć się co „z dzieckiem“ słychać. Odjeżdżając rzekł: „Bóg ci zapłać kobietol cudów dokazujesz.“ Usłyszawszy pocziwie te słowa lżej mi się na sercu zrobiło, odtąd mniej się czułam samotną na świecie. Ale kiedy ostatnią razą przejeżdżał tędy doktor, powiedział mnie: „dziecko twoje wielkie robi postępy, będzie z niego człowiek którego się nie powstydzisz ale nie tutaj, nie tutaj...“

Głos mówiącej zamarł, twarz znikła w cieniu.

— Ludzie w sąsiedztwie dobrzy są — ciągnęła wysuwając się nieco naprzód. Z razu mężczyźni włożyli się tędy aż spostrzegli że nic tu do zyskania nie mają. Czułam się bardzo, bardzo samotną... potem trafem znalazłam w lesie Joaquima i odtąd mam towarzysza. Małe to było, opuszczone, głodne, teraz patrzcie jaki! A Katy, moja sroczka, mądra figlarka, która czasem gada za trzech! A Gim!

Tu wybuchła swobodnym śmiechem i wysuwając się na światło mówiła:

— Nie uwierzycie jaki Gim pojętny, jak wiele rozumie i ile rzeczy umie. Kiedy przynoszę mu kwiaty, przypatruje im się uważnie, albo gdy czy-

tam mu co tam jest na ścianach. Tej zimy przeczytaliśmy już całą tę stronę... Bo to Gim nielada był kiedyś literatem!

— Czemuż — spytał sędzia — nie wyjdiesz za mąż za tego któremuś poświęciła życie swe i całą swą młodość.

— Dla czego? — rzekła, stawka nie byłaby równą. Miałabym korzystać z niedołęztwa biednego Gima. Zresztą spełniając obowiązek żony nie miałabym zasługi w spełnianiu tego co dziś czynię z wolnej i nieprzymuszonej woli. Ale dobranoc panom!

I owinawszy się szalem spoczęła u stóp paralityka z głową wspartą o jego podnózek. Ogień zagasał, kaźden z nas ułożył się jak mógł. Po chwili nie słychać nie było oprócz dzwonienia deszczu po szybach, jęków wiatru w kominie i ciężkiego oddychania uspiionych ludzi.

Kiedy nad rankiem obudziłem się ze snu ciężkiego, burza ucichła, gwiazdy świeciły i księżyc wznosił się nad wspaniałemi sosnami. Światło księżycy wpływając przez okna, spadało na zgiętą postać paralityka a poniżej pieściło głowę leżącej u kolan jego kobiety. Włosy jej owijały stopy ukochanego. W łagodnem świetle księżycy zmiękły nawet rysy Billa, który wsparty na rękę dumiał głęboko z niezmrzonym okiem utkwionem w kobietę. Zasnąłem na nowo, dopiero z brzaskiem dnia rozbudziło mię wołanie Billa:

— Hej panowie dalej w drogę!

Na stole stała przygotowana kawa lecz Miggles gdzieś znikła. Ociągaliśmy się z odjazdem, szukaliśmy jej wszędzie w domu i w ogrodzie. Widocznie odeszła aby uniknąć pożegnań i podziękowań. Usadowiwszy towarzyszeki nasze w dyliżansie wróciliśmy raz jeszcze do pokoju, i kaźdy z nas z kolei ścisnął ceremonijalnie bezwładną rękę paralityka. Raz jeszcze obejrzelśmy się wszyscy dokoła, rzucając okiem na podnózek o który niedawno wspierała się śliczna główka Miggles. Wsiedliśmy nakoniec do dyliżansu, Bill klasnął z bicza, odjechaliśmy.

Przy skręceniu na gościniec, wprawna ręką woźnicy targnięte konie stanęły jak wryte. Na wzgórzu przy drodze, stała Miggles z błyszczącym okiem, powiewając ku nam białą chustką i błyskając białemi zębami. Odpowiedzieliśmy jej wzajemnie powiewając kapełuszami. Bill zapewne aby uciec przed ogarniającym go gwałtownie urokiem, szarpnął lejce; konie porwały się z miejsca i dyliżans potoczył się pędem błyskawicy... po chwili, domostwo okolone wysokim murem, wzgórze przydrożne, chustka biała, błyszczące oczy, i uśmiechnięte usta, wszystko to znikło jak senne widzenie.

W milezeniu jechaliśmy do North Fork. Tu dopiero gdy dyliżans zatrzymał się u podjazdu hotelu, gdyśmy weszli do sali jadalnej i zasiedli za stołem ożywiła się cokolwiek rozmowa.

— Napełnijmy kielichy, zawołał sędzia i odkrył z uszanowaniem głowę.

— Poszliśmy za jego przykładem, złoty trunek zakipiał w napełnionych po brzegi kielichach.

— Zdrowie Miggles! wniósł sędzia i dodał:

— Szczęść jej Boże.

Kto wie? Może i w istocie Bóg jej dopomógł!

## WIARA MIŁOŚĆ I NADZIEJA.

GA WĘDA

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

Tandem tedy cny sąsiedzie,  
Zmiennem bywa ludzkie szczęście,  
Jednemu się wszystko wie dzie,  
Gdy drugi wciąż dmucha w pięście.  
Ot spójrz na mnie: jam persona  
Można walorem swych czynów,  
A nieboszczka zasię żona  
Ród wywodzi z karmazynów;  
Mam fortunkę w glebie rzadką,  
Istne cacko: wioska, dworek,  
Dusz trzy setki, owiec stadko,  
I pękaty w skrzyni worek,  
Z którego spory na wiano  
Dziewy moje grosz dostaną.

Lecz powiem asanu szczerze,  
Żem nie z razu porośł w pierze:  
Byłem ot nie przymierzając,  
Ongi od głowy do pięty,  
Chudy jak na wiosnę zając,  
Goły jak turecki święty,  
Sierotą dla której obcem  
Stał się urok w pięknym świecie,  
Wziął pan jakiś małym chłopcem,  
A wzięwszy rzucił na śmiecie,  
Snadź z litości przed folwarkiem...  
Dano kubrak, lichą strawę,  
I zostałem pańskim psiarkiem,  
Co kundle karmi legawę.

Piękną dolę losy dały:  
Kromka chleba z pomyj miską,  
Których brysie nieshliptały,  
I w psiej budzie legowisko;  
A gdy z rana w poniedziałek,  
Z wzrokiem sowim, miną butną,  
Obchodził gumna marszałek,  
Jam wždy trwożę czuł okrutną.  
„Cóż to?“ woła — chude psiaki,  
Kaźdy z nich gnatami świeci...  
I zazywszy niuch tabaki  
Krzyknie: hola, do mnie dzieci.  
Znieś mi kobierzec na taras,  
Chłopca trzymać, skończę zaraz,  
Asan kładź się z panem Bogiem,  
A grzech przepuść... tak kochanku!  
I boćkowskim mnie batogiem  
Macał, macał bez ustanku;  
Siec zaś nie przestawał ciała,  
Pokąd dłoń się nie zmachała.  
Do budy po krwawej łaźni,  
Zwlokłem obolałe kości,  
A psiarstwo wśród onej kaźni,  
Wyło nade mną z litości!

Gdy już nie było nikogo,  
Wylazłem z onej psiej nory,  
Stał ci tam krzyż nade drogą,  
Godło wiary i pokory...  
Więc pod krzyżem troską zdjęty,  
Skladałem dolę nieszczęsną,  
Szepejąc: „Panie wielki, święty,  
Racz zlitować się nade mną!“

Dnia pewnego nad wieczorem,  
Kiedy razy zwykłym torem,



Skórę do krwi mi z oraly,  
Padłem pod krzyżem omdlały  
Płacząc na mój los okrutny,  
Coś wśród chrustów zaszemrało...  
Spojrzę trwożnie to mąż butny  
Stoi za mną z zgrają całą  
Sług, hajduków i rycerzy...  
„Per Deum!...” krzyknie radośnie,  
Widząc skrucę u młodzieży,  
Aż mi serce w piersi rośnie,  
Zacnyś chłopcze! Bo kto z Bogiem  
Kończy swoje dzienne sprawy,  
Temu świat nie będąc wrogiem,  
Zmieni w szczęście żywot łzawy,  
I w świetną dole ubóstwo...  
Zabacz więc o trosce swojej,  
Dam ci wszelkie ochędóstwo;  
A nakarmię jak przystoi,  
Gdy zaś z cnót nie zboczysz toru,  
Włączę w poczet mego dworu.

Był ci to starosta Rudzki.  
Na walnych sejmach orator,  
Mąż bogobojny i ludzki,  
Licznych klasztorów fundator;  
Po księżniczce Mirskiej wdowiec,  
Cnego rodu protoplasta,  
Który jadąc przez manowiec,  
By prędzej zdążyć do miasta,  
Mnie przygnębił troską  
Ujrzał pod krzyżem za wioską.

Tym ci kształtem ów pan możny,  
Co losem powiatu władał,  
Ceniąc mój ferwor pobożny,  
Kłam srogiemu fatum zadał,  
Jakie życia mego wiosnę  
W katusze zmieniło sprosne.

Pomiędzy służbą dworową,  
Nie trapiłem się kłopotem,  
Miałem strawę sytną, zdrową,  
Jurgielt, barwę szytą złotem,  
Mięso w świętek, rybę w poście;  
Gdy zaś się zjechali goście,  
A jam ich wiódł przez korytarz,  
Bywało że i dygnitarz  
Rad z obsługi, na otuchę  
Wsunął tyńfa za pazuchę

Raz coś pono rok już blisko,  
Od dnia mej służby dworowej,  
Jakieś nieznanie dziadziśko  
Zwlokło się przed wał zamkowy;  
Paupry zaś w swawolną chwilę,  
Idąc pustych maksym śladem,  
Nie przystojną krotochfilę  
Nuże wyprawiać nad dziadem.  
Jeden mu się submituje  
Z gorącemi affektami,  
Drugi tabaczką częstuje,  
Trzeci trefnością mamii,  
Dziad aż zgłupiał, ja co żywo  
Głos podnoszę: „Czyż się godzi  
By nad starca głową siwą,  
W ten kształt trefowali młodzi?

Knę na Boga! wstyt asaństwo  
Nam niesiecie swemi sztuki:  
Toć sromota toć pogaństwo,  
Chrystusa nie cześć nauki!...  
Pierzchły chłystki, jam cichaczem  
Sięgnął w sakwę: weź na drogę  
Dziadku wsparcie. Nie bogaczem

Jestem—daję to co mogę,  
A starosta co za plotem  
Stał w tę chwilę: „miłość,” rzeknie,  
Jest wszelakich cnót klejnotem,  
Kto miłuje, czyni pięknie!  
Tandem tedy dość mitręgi,  
Barwa, jargielt—marne słowo,  
Preceptora dam i księgi:  
Ucz się byś ich przerósł głową:  
A gdy we łbie będzie jasno,  
Kroczyć w szlak życia siłą własną.  
I jam też z ową pomocą  
Baczną, roztropną a mądrą,  
W nauk treści dniem i nocą  
Wszech rozumów zbadam jądro,  
Dopóki nie rzekł Starosta:  
Chociaż Asan jesteś młody,  
Lecz masz statek, rzecz więc prosta,  
Byś z swej pracy zbierał miody.  
Oto skrypt spisany w grodzie,  
A na mocy skryptu tego,  
Przy zawilych spraw wywodzie,  
Będiesz moim alterego.

Lata przeszły z tego toru,  
Nie zbaczając rosłem w chwałę,  
Gdy raz do Starosty dworu,  
Zjechało sąsiedztwo całe,  
Gości huk za stołem siadło,  
I jak chce obyczaj stary,  
Rozliczne podano jadło,  
Zasię pełne wina czary;  
Pito rażno, a pod koniec  
Owej uczyty bachusowej,  
Pan Zaręba herbu Płoniec,  
Takiemi się ozwie słowy:  
Vinum bonum nektar boski,  
Ono laetificat cor w swej porze,  
Przez nie człowiek wszelkie troski,  
Na wiek wieków przemódz może;  
A zaś ono przyszłe życie,  
Toć po prostu wymysł mnicha,  
Bo czyż w zagrobowym bycie  
Rad być możesz bez kielicha?  
Na ów wybryk nieprzystojny,  
Tyle sprośny i plugawy,  
Starosta człek bogobojny,  
Z brwią zmarszczoną powstał z ławy;  
Lecz ja zgadzszy siłą złego  
W tym impecie, rzeknę śmiało:  
Jam Starosty alterego,  
Jego splendor moją chwałą.  
Wrzкомо splendor nie jest odzież  
W którą się przystraja młodzież,  
Ni szal płochy butna mina,  
Ni gra w kości, gąsior wina,  
Którym człek pałę zaleje,  
Ale Bożych łask nadzieje;  
Kto zaś w blasku zagrobowym  
Widzi ino garstkę pleśni,  
Ten w żywocie swym jałowym  
Wiekuiącą przyszłość prześni,  
I z obłędem złud zwodniczem,  
Bez nadziei będzie niczem!

„Wiwat!” krzykną goście spolem:  
Niech żyje defenzor wiary  
Ojców naszych! i za stołem  
Hukną dzbany, brzękną czary,  
Starosta zaś wzniosłszy ręce,  
Jakoby w niemej podzięce,  
Błogosławił mnie ramiony,  
I rzekł drżący i wzruszony:  
Jeszcze cześć, dla starej enoty

W sercach naszych nie zamarła,  
Dzięki Bogu! Chłopcze złoty  
Tyś mi dykcyą wyrwał z gardła;  
A gdyś nadziei wawrzynem  
Zwieńczył czoło—bądź mi synem!...

Odtąd minął czas niemaly,  
Starosta syt ziemskiej chwały,  
Dążąc dróg żywota torem,  
Legł w mogile pod kurhanem  
A jam będąc sukcesorem,  
Części mienia zostałem panem,  
Wioski, dworca, młyna, rzeki,  
Duż trzech setek, pól, pasieki,  
Łąk o bujnym traw kobiercu,  
Lasów rozrośniętych w knieje...  
A dla czego? bom miał w sercu  
Wiarę miłość i nadzieję.

## Obrazki Warszawskie

ulożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Niedługo, nadeszło kilku towarzyszy zwykłego  
zebrania wieczorowego.

Prosper powitał ich w milezeniu. Rozpoczął się  
ruch, usuwanie krzesłek, zawieszanie rzeczy na  
kołkach, jeden zwany Magistrem, łysy brunet  
i z czarnym zarostem, porządkując włosy aby niemi  
jak najlepiej pokryć łysinę, z którą jako stary ka-  
waler nie lubił się przechwalać, usiadł po jednej  
stronie Prospera: po drugiej zabrał miejsce właści-  
ciel sklepu, pan Józef wysoki jak tyka a poważny  
jak bocian siedzący na gnieździe podczas słoty: da-  
lej pomieścił się Emeryt ze służby rządowej raz po-  
raz trzaskający wszystkimi stawami w palcach,  
a przy nim usiadł dawny marszałek jakiegoś zamo-  
żnego pańskiego dworu, Alzateczyk rodem źle mówią-  
cy po polsku ale lubiący Polaków i z pewnością za  
dwóch ich rozprawiający.

— Otóż i piwko, proszę panów, odezwała się Ka-  
sia stawiając pełne kufle na stole i podsuwając je  
każdemu z gości, mówiła dalej: to dla pana Magi-  
stra bo pienne aż kipi jak w głowie każdego ka-  
walera: to dla pana Józefa kufelek jak on wysoki; to  
dla pana Emeryta zeszczerbiony bo na długiej służ-  
bie zjadł już zęby: dla pana Marszałka nowy na pa-  
na patrzący, a to dla ojca Prospera z przykrywką,  
bo już klamka zapadła, dziś się ze mną zaręczył  
i za miesiąc proszę panów na weselę ale z sutemi  
podarunkami.

— A fi Kasia, odezwał się Marszałek, o podarun-  
ka się upominać. \*)

— Albo to pan Marszałek mało się ich nabrał,

\*) Umyślnie zatrzymaliśmy sposób wysłowienia Mar-  
szałka złą polszczyzną, aby przedstawić choć cokolwiek  
barwę komiczną jaką była nacechowana cała rozmowa  
cudzoziemca wiernie tu powtórzona. Jest to mała prób-  
ka szacunku tych obcych przybyszów dla swoich różnych  
chlebodawców, jakby u nas brakło ludzi do posad przez  
nich zajmowanych.



odrzekła Kasia, od pięknych i bogatych pań jak to nieraz mówił.

— A brał, bo głupia daje a mądra bierze.

— To ja samych mądrych miałem nad sobą, odezwał się Emeryt trzaskając stawami w rękach tak silnie, że aż Magister zatkał uszy i skrzywił się. Oni brali co wzięło, ale mnie przez całą służbę ani jednej nie dali gratyfikacji.

— Tak, tak panie Emeryt, to byli bardzo mądra ludzie, ale i my mądra, bo panna Kasia choć się żeni z panem Prosperem, to tylko od nas dostanie pozwolenie i wydrukowane na papierze co jesteśmy z tego bardzo zadowolona.

Roześmiali się wszyscy oprócz Prospera, trącono się kufelkami, popili trochę a potem zapytał Marszałek zwracając się do Prospera.

— Co pan ojciec taki, jakiś nie swoja?

— A bo ojciec ma jakiegoś sęka w głowie, odezwała się Kasia, którego choć kułam a wybić nie mogłam.

Wszyscy spojrzeli na starca i poznali odrazu że rzeczywiście jakąś twardą myślą jest zaprzęgnięty.

— No, pan ojciec, odezwał się Marszałek lubiący bardzo popisywać się z przysłowiami polskimi, na dowód że się zupełnie spolszczył: na fraszunek dobry trunek. Ja jak się raz upiła to chciała nie głowę wsadzić w kapelusza tylko kapelusza w nogi.

— A toś się pan pięknie przystroił, mruknęła Kasia i fyrtnęła do drugiego pokoju usłyszawszy stukanie kufelkami.

— Kasia miała słusność, odezwał się Prosper, powiadając, że mam sęka zabitego w głowę, i z nim to przyszedłem żebyście mi poradzili.

— To powiedz ojcze Prosperze, odezwał się Magister, wszak wiesz że masz z nas prawdziwych przyjaciół. Rada czasem więcej warta jak złoto.

— Tej też od was tylko żądam, bo gdzie udałem się po nią, to mi tylko zakotłowano głowę i na tem wszystko się skończyło.

Tu nastąpiły uwagi, domysły, ośmielania, wreszcie Prosper zniewolony ogólnym życzeniem, gdyż starca szczególnie szanowano, pomyślawszy chwilkę rzekł:

— Od kilku miesięcy przytuliłem do siebie rodzoną siostrzenicę Zosię, biedną sierotkę bez ojca i matki której grozi wielkie nieszczęście....

— Pewno młoda i ładna, przerwał Magister, bo z takimi największy kłopot.

— Jak to znać zaraz kawalerska figlarza, mruknął Marszałek, Emeryt zachrobotał palcami a pan Wojciech jeszcze się lepiej wyprostował, westchnął i uśmiechnął się.

— Oj! pan Wojciech głową wbije dzura w suficie, zawołał Marszałek chwytając kupca za ramiona. Prru! prru!

— Ej! marudy, odezwał się Magister, nie przeszkadzajcie.

— Co my winna że piękna siostrzenica pana Prospera, wszystkim nam pomieszała języki.

— To też to największa bieda, odezwał się Prosper, że Bóg poczciwej mej dziewczynie nie poskąpił urody....

— Ja taka bieda to bardzo smakuje.

Emeryt już chwycił się za palec ale go powstrzymał Magister.

— Bój się Boga panie Józefie, zawołał, uspokój się z temi palcami, bo dziś nie jestem pewny na zęby i jak słyszę chrobotanie twoich palcy, zdaje mi się że tak w szczękach mi trzeszczy.

— A mnie w mojej czupryna. Więc szal panowie, bo jaby chciał dowiedzieć się jak najprędzej, o tym sęka pana Prospera.

Uspokojono się, Prosper mówił dalej:

— Ojciec mojej Zosi był nadwornym stolarzem

w dobrach wielkiego pana i miał syna Władysława, który dla zdrowia pracował przy nim ucząc się stolarskiej roboty. Był to chłopak już spory a Zosia dziecko, chłopiec miał nauczycieli, a że Zosia do książek miała wielką ochotę więc ją zaczął uczyć, znosić książki, rozmawiać, zajmować się, i przyszło wreszcie do tego że się pokochali....

— To ja wiem cała ta historia?

— Zna ją pan Marszałek?

— Ja wtedy byłem u brat tego wielkiego pana i jak się kochanie wydało a pan Władysław duży mężczyzna, powiedział że się z nią chce żenić, to pan ojciec jego poskoczył na ziemię na złamanie karka i powiedział co jego syn zwaryował. A on powiada co nie zwaryował, tylko się z nią ożeni, a pan ojciec powiedział co nie da z wielkiego swego majątek, i jak zaczęli krzyczeć; tak pannę Zosię gdzieś wywieźli, ojciec jej umarł a pan Władysław powiedział co ją znajdzie choćby na końcu świata.

— A i znalazł ją na moje nieszczęście.

— Aj! to prawda co nieszczęście, bo ja panów znam i wiem co u nich wszystko na upór. Jak się im sprzeciwią, to jak kamienica co jej nie ruszy, a jak się nie sprzeciwią to pokorna jak baranka, choćby do szlachtuza to pójdzie.

— Dziś mi Zosia powiedziała, odezwał się Prosper, że pan Władysław chce się z małą poznać jutro i prosić o pozwolenie bywania bo pragnie się z nią ożenić.

— Ożenić? powtórzył Marszałek podnosząc ramion, niech pan Prosper będzie dobry praktyk w swój rozum, tylko tak w głowie się ułożyła u tego pan Władysław na miesiąc albo na pół roka, ale potem wszystko mu się odłoży i sam powie co był głupia.

— Nie koniecznie, zrobił uwagę Magister, jest to wypadek wprawdzie rzadki, ale miłość u młodych ludzi gra wielką rolę.

— Tak, ale nie u wielkich panów i jeszcze z biedną dziewczyną, mój pan Magister. U nich to wszystko przychodzi jak w plika, co jak zachce a nie zrobi tak jak zachce, to zaraz wielka choroba. Ja u tego pan co byłem długie lata jak Marszałek, to znam ich różne grymasy. Raz to temu kanalia, wlaź w głowę wyścigi na konie. To latał po całej Europie i nie tylko wyścigi i wyścigi, a ja myślał co jemu rozum wyścignie z głowy i zostanie głupstwo. Potem temu kanalia przyszły do głowy ubiorry różne i co wyjechał z domu na ulica, to potem fura przychodziła od krawców. Tak ja mówię, czy pan graf sklep ma założyć i być krawcem? A on powiedział, co ja zobaczę później jaki będzie z tego interes. A i był, bo ja jak elegant w coraz lepsza ubrania chodził i drugim dawał, bo jemu ta plika prędko odeszła i potem ten kanalia zapomniał co ubiorów miał jak w magazyn. Potem temu kanalia konie do łba weszły, i nie tylko koń i koń, że ja myślał co ja nie Marszałek tylko konia i że razem z panem grafem stać będę przy żłoba. No, i ta plika go odeszła, potem uspokoiła się, ale niedługo i biegł zawsze piechoto bo powiadał że to najzdrowiej. Ja mówię że najzdrowiej pan graf, a myślał sobie zawsze, co jemu teraz we łba zakręci temu kanalia? A i zakręciło mięso, bo mówił co jeden angielski doktor nie nie kaze jeść tylko samo mięso, żeby nie pchać wiele na żołądek. Mięso było wszędzie, i w kuchnia, i w kredens i w pokoju sypialna, bo i w nocy nie dał mięsu pokoju. Ja mówię co źle będzie pan graf, bo z mięsa wszystko idzie do głowy, a on powiedział co ja nie mam tego rozum co doktor angielski. Ale jak umarł nagle drugi taki kanalia co jak mój graf jadł samo mięso, tak mięso u nas poszło w kąć a ja co wprzód myślał że jestem

wilka, to potem zdawało mi się co jestem pustelnika i że frung razem z panem grafem do nieba. Ale go to odeszło niedługo i zakręciło mu wino na wszystkie gatunki. Kawa, herbata, piwo i woda poszli precz, a na stole nic u nas nie było tylko winna polewka, szodon i wino w butelkach. No, pił pan graf pili i wszyscy, czasem było za bardzo wesoło a u pana graf za nadto na twarzy czerwono, ale mówił co wino siły daje i zdrowie jakby chłopskie.

Ja też myślał, że pan graf zostanie pewno niedługo chłopem w karczma, ale przysłała mu do łba przysznica, i pił woda jak baka i latała po wszystkich studniach jak waryata. Potem temu kanalia zakręciło się piwo w głowie i ja już był pewny że zostanie piwowarem, ale i to minęło. Zaczął skupować obrazy różne, sprowadzać malarzy i z nimi radzić i radzić, to w pałacu nie było posadzki tylko obrazy a pan graf przez pół dnia nic nie robił tylko patrzył na nie i patrzył jak żółwia w jaja. A i wypatrzyła ta kanalia polowanie, a szczególnie upodobała sobie, jak to było na jednym obrazie, polowanie na czapkę z sokołem. Oj, kręcił się żeby sokoła gdzie kupić, pisał za granicę o sokolnika a ja temu kanalia kazał wrócić umalować i powiedziałem co to prawdziwy sokół. I byłaby wrona u nas w klatka za sokół siedziela, ale ta paskudna ptaka usłyszała jak inne wrony kraczą na dworze i jak zakraczała, tak pan graf przyszedł do rozumu i powiedział, co ja bardzo głupia co się dał oszukać. I potem pan graf śmiał się że mnie a ja z pana graf. On myślał co ja głupi a ja wiedział co jemu klepki brakuje w głowa: on myślał co ja się z siebie śmieje, a ja się z niego śmiał z tego głupia kanalia. Jaby musiał długo gadać i gadać, żeby wszystkie figle ten pan graf opowiedzieć, bo on we wszystkim tak był jak chorągiewka na dach, jego brat ojciec pan Władysław także chorągiewka a i pan Władysław chorągiewka tylko z koguta co z mina i czupryna wielka persona. Jemu dziś wpadł w oko siostrzenica pana Prospera albo sam pan Prosper....

— Ho, ho, ho! strasznie się pan zagalopował panie Marszałku, przerwał Magister ze śmiechem któremu drudzy wtórowali. Ten twój graf to pół waryata, nie idzie jednak zatem, żeby i synowiec jego miał być takim.

— No, ja tego na pewno nie wiem, ale wiem co i mój graf i ojciec pana Władysława to wielki bardzo próżniak i tak z próżniactwa temu kanalia różne awantury przychodzą do głowy. Pan Władysław żeby miał taki ojciec jak inni panowie, co wiedzą że na zęby nie idzie sam chleb do gęby, to i on byłby inny. Ale ojciec pan Władysław to umie najlepiej ziewać, spać, jeść i trzymać nosa do góra, to i syna tego nauczył i zrobił go takim kanalia jak sam. Żeby to był syn pana grafa X. albo Y. a powiedział co się chce żenić z panną siostrzenicą pana Prospera, toby ja zaraz powiedział co z tej z mąka będzie chleb, ale z pan Władysław to nie będzie, nie, tylko kwaśne piwo.

— Jest racya, mruknął Magister.

— Tak, jest racya, potwierdził Emeryt i chrobotnął stawami a Magister złapał się za twarz jak w bólu zębów.

— Hu, hu, hu! odezwał się kramarz kręcąc głową i z wysokiego tonu przeszedł do niskiego. Sprawa to niebagatelna, gorsza jak z terminowym wekslem gdy w kasie pustki.

— Tak, tak, tylko dla czego pan Józef z tak cieniokiego głosu poszedł do grubego? zapytał Marszałek?

— A bo jak pan Emeryt zatrajkotał stawami, to pan Józef zagrał na piszczałce a potem na trąbie, odrzekł Magister, bo myślał że siedzi w orkiestrze.



— Nie, pan Magister, tylko pan Józef chciał pokazać, co panna Zofia przez pan Władysław będzie najprzód piszczyć jak piszczałka, a potem ludzie będą gadać jak trąba co ją sływać o pół mili.

— Oj! ta trąba ludzka to najgorsza, żeby nie ona....

— Ja wiem co najgorsza, bo przez nią zrobił pan Magister tylko pół kopa różnych figla, a jakby się trąby nie bał, toby zrobił całą kopa.

— To być może, ale radźmy panowie w kłopotcie pana Prospera, bo przecie tak całej sprawy pozostawić nie możemy bez rozwiązania.

— Ja też mówię, co najlepiej zamknąć pan Władysław drzwi przed samym nosa, choćby z małym jego kawałkiem.

— Tak nie można bezwarunkowo, należy się rozmówić.

— Na co tu rozmówić? Ojciec jego pan graf powiedział co mu nic nie da to i skończyła się rozmowa.

— On sam wyrzekł się wszystkiego, odezwał się Prosper i powiedział że chce własną pracą dojść do utrzymania.

— No, to już on na prawdę jest waryata.

— Ja znów przeciwnie utrzymuję, odezwał się Magister, że właśnie przyszedł do rozumu skoro postanowił pracować.

— Tak, tak, potwierdzili drudzy.

— To ten rozum niedługo u niego posiedzi w głowie.

— Być może, dla tego trzeba się z nim koniecznie rozmówić. Jeżeli miłość dla siostrzenicy pana Prospera, zwróciła go do obowiązku pracy, to należy temu pomódz żeby go utrwalić w tem szlachetnym postanowieniu, ale nie przeszkadzać, nie utrudzać.

— Pan Magister pięknie mówi a pan Władysław będzie pięknie mówić, ale jak przyjdzie orzecha zgryść, to piękna mowa pójdzie fort a panna Zofia w ką.

— To najlepiej pana hrabiego X. albo Y. poprosić żeby się w tej sprawie rozmówił z ojcem Władysława, rozważył ją jak należy, i dopiero dał swoje zdanie, czy można mu pozwolić bywać u pana Prospera.

— To bardzo rozumnie pan Magister poradził, niech pan Prosper idzie...

— A dajcie mi święty pokój, ja z panami nie umiałbym się nawet rozmówić, nie umiem po francuzku.

— A pan Magister?

Magister poprawił się na siedzeniu, chrząknął i odrzekł.

— Co prawda po francuzku umiem paplać ale wyszedłem z wprawy, a tuby trzeba rzecz całą jak najdobitniej przedstawić: moglibyśmy więc nie porozumieć się z sobą. Ale pan Józef jako kupiec....

— Ja umiem tylko po niemiecku, odezwał się pan Józef i przyzwyczałem się wszystkie interesa załatwiać u siebie w sklepie za stołem. Gdyby przyszedł do mnie....

— Jabyłm tę przysługę zrobił pan Prosper, przerwał Marszałek, ale ja mam krzywe oko na nich a oni na mnie, toby interes źle poprowadził. Ale pan Emeryt taki stateczny człowiek, taki poważny urzędnik....

— Bójcie się Boga! przerwał Emeryt mordując palec niemiłosiernie, ja przy zwierzchnikach zapomniałem języka w gębie, a cóż dopiero przy wielkim panu, których znam jedynie z karety jak jadą ulicą.

— Hu, hu, hu! odezwał się pan Józef minorowym tonem, z którego przy pewnej wprawie, można się

było domyślić co ma powiedzieć. A to dopiero sprawa zawiła.

— To niech pan Józef, odezwał się Magister, razem z panem Emerytem idą w poselstwie.

— To już lepiej idźmy wszyscy, w kompanii prędzej damy sobie radę.

— Nie, nie wypada odezwał się Marszałek, to byłby za wielki hałas, służba z uszami poszłaby pod drzwi i zaraz wszyscy wiedzieliby o co tu idzie.

— No, to już nie wiem jak radzić, odezwał się Magister, ale najlepiej sądzę...

— Ja powiem jak zrobić, przerwał Marszałek, panna Zofia wywieść do siostra mojej żony na kolonia, a pan Władysław dać kwitek i nosa zamknąć przed drzwiami.

— To na nic się nie zdało, rzecz stanie się odwleczona a niezafatwiona, a tu trzeba stanowczo albo na tę albo na tę stronę.

— Tego też tylko pragnę, odezwał się Prosper, a moja Zosia bardzo prosiła, żeby panicza przyjąć w domu i wysłuchać tego co ma powiedzieć.

— No, to go przyjąć i rozmówić się, a jutro o wszystkim dowiemy się od pana Prospera i znów co uradzimy.

— Tak, tak będzie najlepiej, potwierdzono, i rozmowa nagle urwała się.

W tej chwili Kasia przyniosła świeże kufelki z piwem, a przyzwyczajona do gwaru swoich gości, milczeniu ich się żdziwiła.

— A to co się stało? zapytała podsuwając kufelki. Czy panowie się poспали czy co? Nie lubię takiej cichości, bo zaraz mi się zdaje że ktoś chory.

— Zgadłaś moja Kasiu, bo i kochanie to choroba.

— To jej receptę zapisać na ślub w kościele a zaraz choroba się skończy.

— A jeżeli pan młody nie chce zażyć takiego lekarstwa.

— To receptę płać terpetyną, włożyć mu w usta zapalić i wypchnąć za drzwi do szpitala.

— A jeżeli kocha prawdziwie, panno Kasiu a nie może się zenić bo mu nie pozwalają?

— O! to musi być jakiś niedołęga, i jak powiada pan Magister, puścić go w trąbę, skoro nie idzie za kochaniem tylko za ludzką wolą.

— A jeżeli chce iść za kochaniem, tylko mu to i owo przeszkadza i musi czekać?

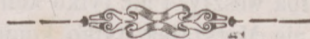
— To, to i owo poznać dobrze, wysondować, rozmiarkować, i jeżeli w tem wszystkim nie będzie jakiego szachrajstwa, to czekać i szyć wyprawę.

— Wybornie Kasiu! zawołano ze śmiechem trącając kufelkami.

— Czy to idzie o kochanie mnie przez ojca Prospera?

— A naturalnie.

— No, to już rzecz skończona, ja ojeu Prosperowi wierzę jak sobie i choćby sto lat a czekać będę, żeby zostać mamą Prosperową. (d. c. n.)



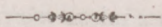
## WIEN I ŻYCIE WIENSKIE.

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów“.)

Streszczone przez J. B.



(Dalszy ciąg).

Przez siedm dziesiąt dni oblężenia Queratero, Maksymilian dał dowody wielkości duszy i boha-

terskiej prostoty. Dzielił trudy i niedostatek prostych żołnierzy, jak oni żywił się mięsem mułów, podczas gdy oficerowie rozkoszowali się wytwornym stołem. Narażał się więcej niż którykolwiek z szeregowców i spokojnie przechadzał się po bastionach, jakby na tarasie pałacowym. Raz zatrzymał się żywo wzruszony: postrzegł pięć trupów wiszących u gałęzi drzew; byli to jego kurierzy których Juariści schwytali i powiesili pod samem miastem.

Samemu, łatwo przysłoby mu przedrzeć się z kawalerią przez szeregi nieprzyjaciół, ale nie chciał opuścić swoich żołnierzy. Nie zgadzał się na kapitulację. „Umę walczyć“ odpowiadał.

Codziennie pojmovano jeńców; gdy mu przekładano że trzeba koniecznie wieszać podejrzanym o szpiegostwo, odpowiadał: „Zadnych egzekucji; jeżeli wszystko zakończy się szczęśliwie — tem lepiej, jeżeli mamy uleść przemożnej sile, nie chcę mieć na sumieniu niczyjej krwi.“

Zbrakło żywności; nie pozostawało jak poddać się lub wyjść z bronią w ręku. Postanowiono że dnia 14 maja. w nocy, pozostałe 7,000 miało przedrzeć się przez szyki nieprzyjaciół w kierunku Vera-Cruz. Szczególniejszy zbieg okoliczności! Juaristowski generał Escobodo, ze swej strony postanowił przypuścić szturm rano, dnia 15 maja. Ale ani wycieczka ani szturm nie miały miejsca; niemożna je zdrada Lopez'a. Nędznik ten, osypany łaskami Maksymiliana, podający się za najwierniejszego jego przyjaciela, sprzedał go za 2,000 uncji złota. Rok właśnie temu, w tymże samym dniu, Lopez będąc w Puebla z cesarową, sprowadził żonę, która niespodzianie wydała tam na świat syna. „Nie zniósłbym tego aby syn twój przychodził na świat w cudzym domu; pisał do niej, posyłam ci na zakupienie na własność tego w którym się urodził.“

Doskonale zawiadamiany o wszystkim co się działo w obozie Juaristów, Lopez dnia 14 maja wieczorem, posłał list do Escobodo, z propozycją że za 2,000 uncji złota wyda mu klasztor La Cruz, w którym znajdował się cesarz i jego sztab główny. Escobodo przystał na to i około północy Lopez ukazał się w fosach na czele wojska, które natychmiast broń złożyło. Żołnierze Juareza zastąpili casarskich i zajęli klasztor tak iż nikt tego nie spostrzegł.

Według swego zwyczaju Maksymilian wstał równo ze świtem; poszedł obudzić księcia Salm-Salm i obaj wyszli bezbronni. Przed bramą cesarz zatrzymał się i rzekł do towarzysza: „Żołnierze Juareza! jesteście zdradzeni!“ W tejże chwili Lopez który ich spostrzegł, wskazał cesarza pułkownikowi Rincon Gallardo, który z oddziałem Juaristów pilnował bramy.

Rincon był dzielny żołnierz i uczciwy człowiek; odpowiedział więc tak głośno aby i żołnierze jego i cesarz mógł słyszeć: „To nie są wojskowi tylko cywilni mieszczanie, niech idą z Bogiem.“

Cesarz i książę Salm przeszli nie niepokojeni i zwrócili się spiesznie w przeciwną stronę miasta. Puste ulce zalegało uroczyste i grobowe milczenie poprzedzające wielkie wypadki; w kilka minut później strzały rozlegały się na całej linii a na okrzyki juaristów, cesarscy odpowiadali: Niech żyje wolność! Miramon bronił się jeszcze ze swym oddziałem na ulicy Kapucynów, jednej z najszybszych w Queratero, ale ugodzony kulą w twarz, upadł; gdy się podniósł, był niewidomym i jeńcem.

Cesarz wraz z generałami Mejia, Castillo, Avellano i księciem Salm, schronił się na małe okopane wzgórze panujące nad miastem, Cero de las Campanas. Nie mając tam artylerji, podobni byli rozbitkom patrzącym na coraz wyżej podnoszące się,



mające pochłonąć ich morze. Jenerał Escobodo, dawny rozbistwiony mulnik, dziki i krwi cheiwy, posuwał się ku nim spieszenie z czterema batalionami piechoty i całą kawaleryą, miotającą przekleństwa i groźby śmierci. Ścisłe otoczono wzgórce.

— Nie strzelajcie, nie chcę bezużytecznego krwi rozlewu! rzekł cesarz do garstki co jakby żyjącym murem osłaniała go swemi piersiami, i cichym, stłumionym prawie głosem, rozkazał jednemu z adjutantów wywiesić białą chorągiew na bagnecie fuzyi.

Juariści wdzierali się na wzgórze w ścieśnionych szeregach; zobaczywszy białą chorągiew zatrzymali się i zaprzestali strzelać. Zgiełk i wrzawę szturm, zastąpiło głębokie milczenie.

Wtedy ujrano człowieka w mundurze jenerała meksykańskiego, w czarnych pantalionach i długich butach, w czarnym surducie ze złotymi szlifami, który stanął na pierwszym okopie; powiódł do koła spokojnym wzrokiem, poczem zszedł pewnym krokiem w towarzystwie innych jenerałów.

Juariści powitali, nie krzyżąc ale wyjąc prawie: „Niech żyje wolność!

Poznali cesarza. Maksymilian zwrócił się wprost do jenerała Corona dowodzącego korpusem ochotników amerykańskich, zwanych „Legionem honorowym“ składającym się z pięćdziesięciu samych oficerów.

— Jenerale, rzekł, los i ludzie mnie zdradzili; dość już wdów i sierot, oto moja szpada.

— Najjaśniejszy panie, odrzekł Corona, zapominając że mówi już nie do cesarza, zatrzymaj swoją szpadę.

Prosił Maksymiliana żeby wsiadł na konia i eskortował go wraz z innymi więźniami do klasztoru Santa-Teresita.

Tu cesarza i jenerałów jego zamknięto w piwnicach klasztornych, gdzie nietylko sypiali na gołej ziemi ale cierpieli głód i pragnienie. Nareszcie przybycie księżnej Salm-Salm polepszyło nieco okropne ich położenie; przeniesiono ich do klasztoru Kapucynów, a przyjaciele uzyskali pozwolenie przysyłania im wina, żywności i odzieży. W tym ostatnim akcie dramatu księżna Salm Salm postępowała jak prawdziwa bohaterka. Wychodząc z oblężonego Meksyku, dwa razy wystawiona była na strzały żołnierzy Parfirio Diaz'a. Została oskarżona o rozdawanie pieniędzy Austryakom uwięzionym w Chapultepek; za co internowano ją w Guadelupie; nareszcie dano jej pasport do Europy, lecz zamiast wracać do niej, udała się do męża w Queratero, a z tego miasta, ukrywając się i podróżując w nocy, dostała się nakoniec do San Luis de Potosi, gdzie rezydował Juarez.

Gdy Maksymilian dowiedział się o postępowaniu tej szlachetnej kobiety, nie mógł wstrzymać się od łez.

Więźniowie przesiedzieli trzy tygodnie w klasztorze Kapucynów, nie wiedząc jaki los ich czeka. Zdawało się że Juariści kłopotali się co zrobić ze swymi jeńcami. Nareszcie 10 czerwca zawiadomiono ich że Juarez, wydał rozkaz aby ich stawiono przed sądem wojennym, i że będą sądzeni dnia 12 czerwca.

— Gdzie mnie prowadzisz? zapytał Maksymilian oficera który przyszedł po niego.

— Przed sąd wojenny.

— Gdzie się odbywa?

— W teatrze.

— Nie pójdę, nie chcę robić z siebie widowiska w teatrze i być sądzonym jak jaki komedyant. Nie pójdę; wyjdź!

Widząc że chyba gwałtem zdołałby wyprowadzić więźnia, oficer się oddalił.

Jenerałowie Miramon i Mejia zostali wciągnięci na scenę gdzie zasiadał sąd wojenny. Teatr zapchany był aż do szczytu jak wieczór podczas wielkich przedstawień — nie dziw, nie płacono za wejście. Sprawa ciągnęła się przez trzy dni. Oskarżano cesarza o przywłaszczenie władzy, o podniecanie do wojny domowej i zamordowanie 40,000 liberalnych, powieszonych lub rozstrzelanych na skutek rozkazu z dnia 3 października 1865 roku, do podpisania którego, jak wiadomo, Bazaine zmusił prawie Maksymiliana.

Rano dnia 15 jenerał Escobodo wszedł do więzienia Maksymiliana, trzymając w ręku wyrok sądu wojennego.

Cesarz nie łudził się co do czekającego go losu, rzekł więc łagodnie:

— Czytaj, jenerale, słucham cię.

Wyrok opiewał że Maksymilian i dwóch jego jenerałów, Miramon i Mejia skazani zostali na śmierć.

— Dobrze, rzekł cesarz swoim łagodnym spokojnym głosem. Prawo z 3 października wydane było przeciw rozbójnikom, ten wyrok wydany jest przez morderców!

Escobodo pochwylił rewolwer i szepnął: Zuchwalec! ale ochłonął prędko i odpowiedział: „Wolno skazańcowi żłorzeczyć swoim sędziom.“

Maksymilian odwrócił się od niego. Escobodo wyszedł.

Egzekucya wyznaczona była nazajutrz, ale odłożono ją na dzień 19 z rozkazu Juarez'a.

Dowiedziawszy się o wyroku, ambasadorowie Prus i Anglii udali się natychmiast do prezydenta do San Luis de Potosi, chcąc wyjednać ulaskawienie dla skazanego, ale Juarez był nieubłagany. Oznajmił że jest niezbędny warunek dla zapewnienia przyszłości Rzeczypospolitej.

W nocy z 18 na 19 czerwca, Maksymilian zażądał nożyczek, ale mu ich dać nie chciano; prosił więc strażnika aby sam uciął mu promień włosów, poczem napisał następujący list do cesarzowej Karoliny:

„Jeżeli Bóg pozwoli, ukochana moja Karolino, abyś kiedyś odzyskała zdrowia i przeczytała te słowa, dowiesz się jak okrutnie los mnie prześladował od czasu twego wyjazdu do Europy. Uniósł z sobą szczęście moje i duszę moją. Ach! czemuż nie usłuchałem ciebie! Niestety! przygniotło mnie tyle wydarzeń, tyle kłesk i cierpień nieprzewidzianych i niezasłużonych, że nadzieja wygasła w mem sercu i że oczekuję śmierci jak anioła pocieszyciela. Umieram nie konając; padnę z chwylą jak żołnierz, jak król zwyciężony... Jeżeli zbraknie ci sił do przeniesienia tylu cierpień, jeżeli Bóg wkrótce połączy nas z sobą, błogosławić będę ojcowską Jego rękę, która tak ciężko nas dotknęła. Bywaj mi zdrowa!... żegnam cię na zawsze!

„Twój biedny Max“

Pocałował ten list, włożył w niego pukiel swoich jedwabnistych blond włosów i przyłączył go do innych listów napisanych do matki, do arcyksiężnej Zofii i kilku przyjaciół. Widziałem parę tych listów; pisane są w języku francuzkim, ręką spokojną, pismem prostym i pewnym. W każdym ustępie odbija się piękna dusza romantycznego tego księcia, czytając je łatwo pojąć iż wywierał na wszystkich jakiś wpływ sympatyczny. To też chcąc uzyskać wyrok skazujący go na śmierć, trzeba było złożyć sąd wojenny z jenerałów którzy go nigdy nie znali.

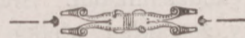
W ostatnich chwilach był prawdziwie wielkim królem dzięki swej spokojnej i dumnej rezygnacyi lwa zranionego; dowiódł że nie był pospolitym awanturnikiem, że królewska krew płynęła w jego żyłach. Okazał niezachwiany spokój w obec tej śmierci która przychodziła naigrawając się jak w Tańcu Śmiertelnym, aby mu wydrzeć koronę i rozbić ją o mury więzienia. Zamiast rozczulać się nad sobą, żałować sławy, potęgi, wszystkiego o czem marzył wstępując na ziemię meksykańską, myślał tylko o obecności i nie sobą był zajęty ale swemi ukochanymi. Gotował się umierać jak król i chrześcianin.

Gdy szósta wybiła, otworzyły się drzwi jego więzienia.

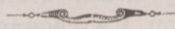
— Jestem gotów, rzekł Maksymilian, postępując ku przychodzącemu po niego oficerowi, a przestępując próg klasztorny, zawołał wznosząc oczy ku niebu: jaki prześliczny dzień! zawsze pragnąłem umierać w piękny dzień słoneczny.

I widok tego błękitnego nieba i rozkosznej przyrody, ptaków świergoczących wesoło, przypomniał mu pewnie Miramar odbijający się tak pięknie w zwierciadle Adryatyku, ten Miramar, w którym życie jego było jedną nieprzerwaną idyllą...

d. c. n.



## Korespondencya ze Lwowa.



(Dokończenie).

Przed miesiącem odbył się w nowym Sączu po raz jedenasty z kolei walny zjazd członków Towarzystwa pedagogicznego. Co w poprzednim roku powiedzieliśmy o dziesiątym walnym zjeździe, to dziś tylko to samo powtórzyć wypada. Towarzystwo pedagogiczne rozwinęło się tak świetnie jak żadne inne i spełnia swoje zadania tak sumiennie i dobrze, że powodzenie jest tylko zasłużoną nagrodą. Na tegorocznym zjeździe towarzystwo obchodziło niejako dziesięcioletni jubileusz, i z tego powodu zarząd jego wydał broszurę zawierającą treściwy pogląd na powstanie, rozwój, prace i dzieła towarzystwa. Po przeczytaniu tej broszury napisanej zupełnie przedmiotowo, nikt nie może odmówić Towarzystwu tego uznania, że dobrze się zasłużyło około naszego szkolnictwa i oświaty, że wielkie postępy, jakie na tem polu zrobiła Galicya w ostatnich latach, w pewnej. wcale pięknej części idą na rachunek zasłużonej dojrzałości Towarzystwa. Z przedmiotów, które stanowiły porządek dzienny posiedzeń, wspomnimy tylko o jednym, który dotknął sprawy wysokiej w sposób taki, że po zjeździe dyskusya przeniosła się w łamy dzienników lwowskich. Przedmiotem tym była sprawa ogródków Froeblovskich, którym zarząd towarzystwa pedagogicznego wytknął w osobnej uchwale granice szczuplejsze od tych, jakie dotąd zajmowały. Za ścieśnieniem zakresu ogródków froeblovskich, odezwały się na zjeździe Towarzystwa pedagogicznego głosy najpoważniejszych pedagogów, chociaż niebrakło także ogródkom froeblovskim obrońców z nazwiskami znanymi w naszej literaturze pedagogicznej. Wystąpienie towarzystwa przeciw instytucji ogródków froeblovskich w formie dotychczasowej, ma większość opinii po swej stronie. Ogródki froeblovskie są nieocenioną instytucją, jeżeli działają pomocniczo bez ujmy dla wychowania domowego i nauki szkolnej. Jeżeli dzieci wskutek stosunków wyjątkowych nie



mogą zostawać pod okiem matki w wieku, który wypełniony być powinien wychowaniem domowym, to ogródek froeblovski powinien mu zastąpić dom i szkołę i wtedy spełnia piękne zadanie społeczne. Jeżeli jednak ogródki froeblovskie zaczęły powoli zmieniać się w instytucję pożądaną dla niedbałych matek, które wysyłając dziecko do ogródka uważają się tem za wyręczone, to w takim razie społeczeństwo straci na tem wiele, bo wychowanie domowe stanowić powinno główną podstawę. Tak opiewały dowodzenia obrońców uchwały towarzystwa i nie obalili jej mówcy z przeciwnego obozu, którzy podwoili wysoko pedagogiczną wartość ogródków. Nie brakło w polemice przesady, ale ostatecznym rezultatem i celem było tylko roztropne ścieśnienie zakresu ogródków, nie zaś podkopanie ich bytu.

Drugą równie sympatyczną uroczystością publiczną, mieliśmy w zakładzie dla wdów i sierot fundacyi St. hr. Skarbka twórcy teatru lwowskiego. W pierwszych dniach b. m. odbył się tam egzamin publiczny, który z tego powodu wzbudził wielki interes, że po raz pierwszy popisywały się dzieci, które skończyły kurs czwarty i obecnie przenoszą się na trzyletni kurs do warsztatów zakładowych, aby potem opuścić zakład i zająć samodzielne stanowisko między rękodzielnikami. Słusznie podnosili wszyscy mowy, że zakład wielkie odda usługi społeczeństwu, jeżeli dziś w czasie zuchwałej propagandy zasad socjalizmu wstrząsających wiekami podstawami bytu społecznego, zasilać będzie klasę rękodzielniczą ludźmi dobrze w swoim zawodzie ukształtowanymi i wychowanymi w zdrowych zasadach. Uroczystość egzaminu zaszczycił swoją obecnością sam Marszałek krajowy, co podniosło wielce jego znaczenie. Ze wszystkich sprawozdań dziennikarskich wynika, że zakład Drohowycki, zostający pod kierownictwem znanego pisarza a później i pedagoga p. Juliusza Starkla, rozwija się pomyślnie i odpowiada zupełnie intencjom szlachetnego fundatora.

Już przed rokiem towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych zaprowadziło tę zmianę, że wystawy obrazów odbywać się mają nie jak dotąd w porze ogólnego wyludniania się większych miast t. j. na schyłku wiosny i początku lata, lecz we wrześniu kiedy miasto odzyskuje straconych na kilka miesięcy turystów, a więc klasę, która jako zamowniejsza, wykształceńsza żywiej zajmuje się sztukami pięknymi. We Lwowie za tą zmianą przemawiała nadto jeszcze i ta okoliczność, że we wrześniu najczęściej trwa sesja sejmowa a z nią łączy się liczniejszy zjazd z prowincyi.

Na tegoroczną wystawę nadesłał: Kozakiewicz z Monachium dwa obrazy „Zabawa w kaźni“ (cena 5,000 zlr.): „Bez opieki.“ Świeszewski, krajobraz z nad brzegu Wisły; Streitt, Babunia, Pierwsze Uroki i Zabawa z lalką; Weber, krajobraz większych rozmiarów. Z Rzymu przysłali: Łaszczyński Kyrye elejson; Budkowski, dwa krajobrazy z miasteczka Subiaco; Penther z Wiednia, kopia, podług Palma Vecchio, Violanta; Pochwelski z Krakowa, znaczniejszych rozmiarów obraz Chłopcy w kąpielu; Grochulski z Krakowa, typ ludowy „Hania.“ Nie wspominając o wielu innych dodatkach, że Rodakowski zapowiedział portret ks. Leona Sapiehy. Gerson dwa obrazy, Św. Jadwiga wchodząca do sali sądowej i Pomorzanie przez dwie Mazurki rozbrojony; Brochocki dwa obrazy i t. d. Na początek jest to wcale pokaźny poczet dzieł a nasze wystawy zapełniają się zazwyczaj dopiero w drugiej połowie sezonu. O wielkim obra-

zie Matejki „Bitwa pod Grunwaldem“ nadchodzą same pomyślnie wiadomości. Osoby mające przystęp do pracowni genialnego mistrza krakowskiego, zapowiadają obrazowi powodzenie daleko większe od tego, jakiego doznały poprzednie. Wkrótce publiczność będzie mogła oglądać to arcydzieło.

B. E.

## Ogłoszenie.

ZAKŁAD

Przemysłowo-Rękodzielniczy

DLA KOBIEC.

PROSPEKT.

Kwestya pracy kobiecej, kwestya wytworzenia w razie potrzeby, dla słabszej połowy rodu ludzkiego, stanowiska ile możności samoistnego i niezawisłego, zajęła w czasach ostatnich jedno z miejsc najważniejszych w szeregu badań nad postępem społecznym. Poszło ztąd, że nie braknie rozlicznych i nieraz najsprzeczniejszych pomiędzy sobą pod tym względem teoryi, ale w praktyce na jedno godzić się musi każdy, kto się zastanawiał nad przedmiotem tym, t. j. że przedewszystkiem wypada nakierować na drogi właściwsze, a zarazem udokładnić wychowanie kobiety, aby ją przysposobić do życia bardziej samodzielnego, i uzdolnić tem samem do wystarczania i sobie samej, i, w wypadku zmiennych losu kolei, nawet rodzinie.

Pozostawiając na boku wszelkie marzenia o równouprawnieniu kobiecemu na polu nauki i zawodów działalności publicznej, zdrowy duch wieku uznał zarówno, że najodpowiedniej ku osiągnięciu tych celów nadaje się praca przemysłowo-rękodzielnicza, tylko że w liczniejszych gałęziach i w szerszym zakresie, aniżeli to dotąd przy zajęciach niewieścich bywało przyjęte.

Ułatwienie młodym pracownicom tej drogi, jedynym jest celem otwierającego się z d. 1-m Października r. b., na mocy zezwolenia Władzy, nowego Zakładu Przemysłowo-Rękodzielniczego dla kobiet.

Przełożona tego Zakładu, oddawna już sprawie wychowawczej oddana, wprowadzając w życie zamiar z zamiłowaniem podjęty, głównie miała na myśli konieczność uzupełnienia w powyższym kierunku edukacji większości tych panien, które już skończyły kursa nauki bądź to w zakresie gimnazyów publicznych, bądź pensyj prywatnych, lub wyłącznie domowych.

Na pierwszy początek, dopóki znacznie-sza liczba uczennic nie upoważni Zakładu do rozszerzenia swej działalności, wykładane w nim nauki obejmować będą przedmioty następujące: 1) Krój i szycie bielizny; 2) Krój i szycie sukien; 3) Krój i szycie rękawiczek; 4) Introligatorstwo; 5) Retuszowanie fotografii i 6) Buchalterya.

Przedmiotom tym, wykładanym przez najbardziej uzdolnionych fachowych Nauczycieli i Nauczycielki, Zakład poświęca od 4 do 6-u godzin tygodniowo, całkowite zaś kursa trwać będą od 3 do 6-u miesięcy. Opłata miesięczna wynosić będzie po rs. sześć.

Zapis uczennic rozpocznie się w d. 25 b. m. w samym Zakładzie (ulica Szkolna, N. 6, 1-e piętro), gdzie też co do innych szczegółów podawane będą wszelkie żądane objaśnienia.

Julja Angel.

PIERWSZA W KRAJU FABRYKA  
WARKOCZY Z IMITACYI WŁOSÓW | Muhair |  
Jana Kalinowskiego  
w Warszawie.

Ulica Marszałkowska N. 61.

Poleca się znacznym wyborem warkoczy w różnych kolorach, które mocą i starannem wykończeniem przewyższają wszystkie podobne sprowadzane z zagranicy. Cena warkocza od rs. 1 do 5-ciu.

Zamówienia z Prowincyi lub Cesarstwa nadsyłane, najakuratniej są uskuteczniiane w krótkim czasie. PP. handlującym biorącym na tuziny odstępują rabat.

1—6

Helena Dąbrowska

przedstawia Guwernantki i Guwernerów tak cudzoziemców jak i krajowego pochodzenia. Adres: Pani Helena Dąbrowska, w Warszawie, Krakowskie Przedmieście Nr. 71, wprost wystawy obrazów Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych. Imię Helena należy zawsze wypisywać.

Rozwiązanie Szarady zamieszczonej w N. 39.  
(Piers-cień).

Przyjaciela Dzieci Nr. 40 wyszedł z druku i zawiera:

Pogadanki z Ojcem (z drzeworytem). — Piętnastoletni kapitan. — Syn cieśli, powieść C. Fallet'a przekład Jadwigi Witkiewiczówny. — Zatarg Władysława Łokietka. w Dodatku: Frank Osbaldeston.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do J. K. Gregorowicza. Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).

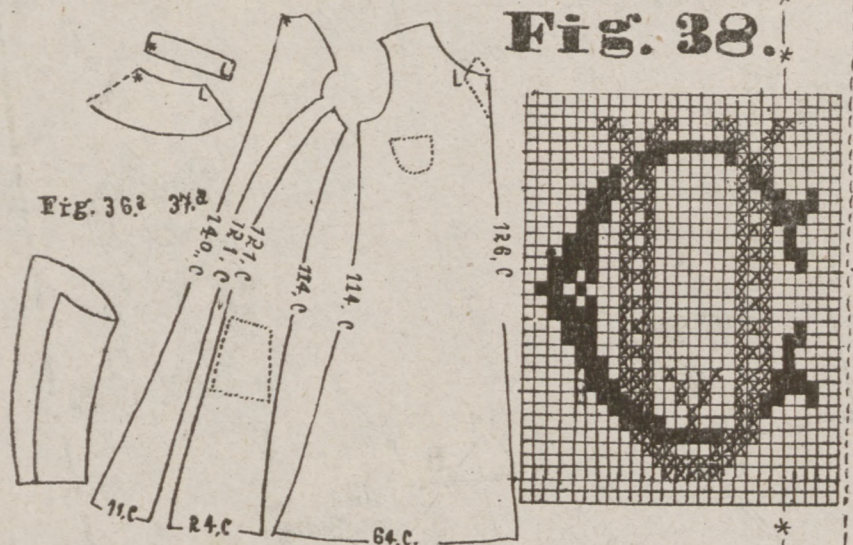
Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.



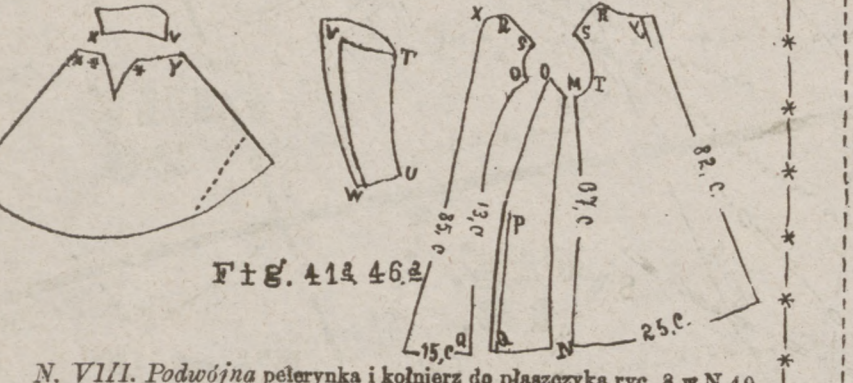
**TYGODNIK MÓD.**  
w Warszawie 1878 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 40 i 41.

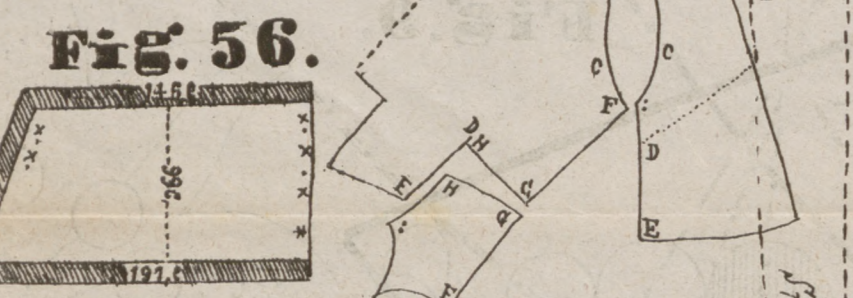
N. VI. *Plaszczyk jesienny*, Ryc. 6 w N. 40 i ryc. 26 w N 41 Tygodnika MÓD.  
Fig. 31. Przedek (A, B, C, D, E, K, ..., jedno załamanie formy)  
Fig. 32. Połowa pleców wraz ze zwierzchnią częścią rękawa (A, B, C, D, G, H, I, \*, jedno załamanie)  
Fig. 33. Spodnia część rękawa (C, F, G, H, ..., jedno załamanie)  
Fig. 34. Połowa koltura (L, R)  
Fig. 31-a-34-a. Zmniejszony rysunek zestawionych części plaszczyka.



N. VII. *Plaszczyk od deszczu z poleryną i kolturem z ranworem*, Ryc. 29, w N 40.  
Fig. 35. Przedek (L) X X X X X  
Fig. 36. Połowa poleryny (L, \*) X X X X X  
Fig. 37. Połowa koltura (L, \*) X X X X X  
Fig. 38. Zmniejszony rysunek wszystkich części plaszczyka przykrojonych według form N. II do N 18 i 19 Tyg. MÓD, z dodaniem polerynki i koltura fig. 35-37.



N. VIII. *Podwójna polerynka i koltura do plaszczyka ryc. 8 w N 40*, Ryc. 29, w N 40.  
Fig. 39. Połowa dolnej poleryny z oznaczeniem polerynki zwierzchniej.  
Fig. 40. Połowa koltura. + + + + +  
N. LX. *Plaszczyk podróżny dla panienki lat 8-10*, Ryc. 28 w N 40.  
Fig. 41. Przedek (M, R, S, T, Y) o o o o o  
Fig. 42. Boczki (M, N, O, P, Q, jedno załamanie)  
Fig. 43. Plecy (O, P, Q, R, S, X, jedno załamanie)  
Fig. 44. Rękaw (T, U, X, W)  
Fig. 45. Połowa poleryny (X, Y, \*, jedno załamanie)  
Fig. 46. Połowa koltura (X, Y)  
Fig. 41-a do 46-a Zmniejszony rysunek zestawionych części plaszczyka Fig. 41-46.



N. X. *Sukienka dla dziecka rocznego*, ryc. 23-24 w N. 40 Tygodnika MÓD.  
Fig. 47. Połowa plastrona (a, b, ...)  
Fig. 48. Przedek (a, b, c, d, e, f, ...)  
Fig. 49. Plecy (a, d, e, f, \*, X 1. 1 do X 3. 3)  
Fig. 50. Rękaw (f, \*)  
N. XI. *Długi paltozik dla dziecka rocznego*, ryc. 24 w N 41 Tyg. MÓD.  
Fig. 61. Przedek i boczki (g, h, i, k, l, m, n, s, t, u)  
Fig. 62. Plecy (i, k, l, m, r) X X X X X  
Fig. 63. Rękaw (n, o, p, q)  
Fig. 64. Połowa marynarskiego koltura (r, s)  
Fig. 65. Połowa kieszonki (t, u)

N. XII. *Draperye do sukni* ryc. 1-2 w N 40.  
Zmniejszony rysunek i mały draperyi.  
Długość do ryc. 6, 7 i 12 w N 40 Tygodnika.  
Fig. 67. Szoki szalik na poprzeczne szrony serwyty ryc. 12 w N 40.  
Fig. 68 i 69. Środkowa figura, zaokrąglone narożniki na kłapie i części szalika do ryc. 6 i 7 w N. Tyg. MÓD.

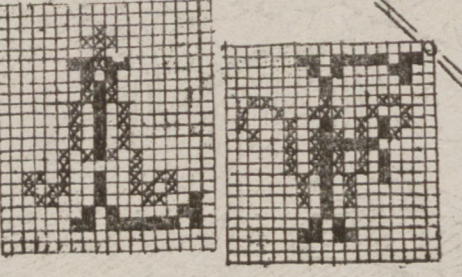
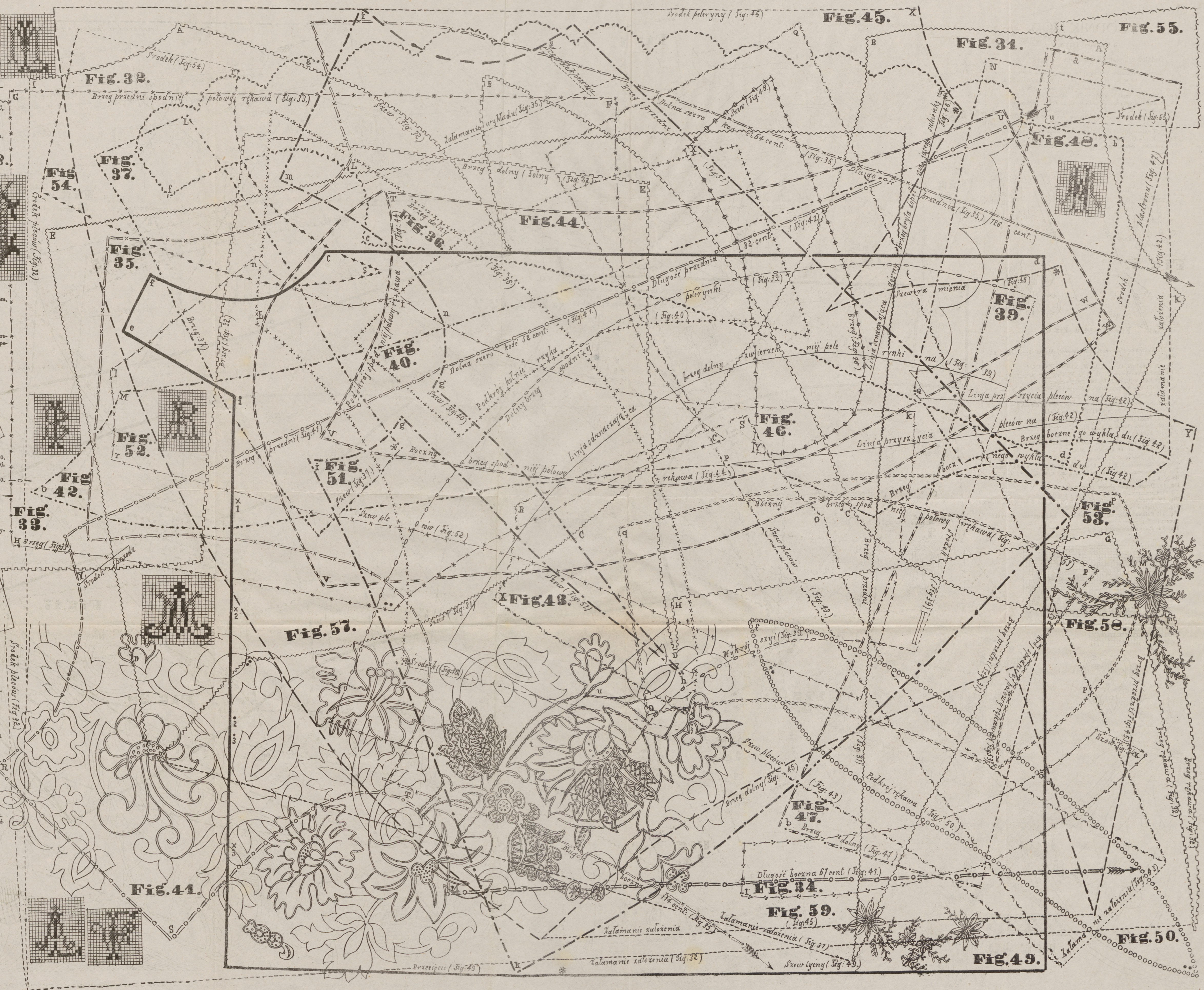


Fig. 41.

Fig. 57.

Fig. 43.

Fig. 51.

Fig. 46.

Fig. 52.

Fig. 35.

Fig. 37.

Fig. 54.

Fig. 32.

Fig. 39.

Fig. 40.

Fig. 44.

Fig. 36.

Fig. 45.

Fig. 31.

Fig. 55.

Fig. 50.

Fig. 47.

Fig. 34.

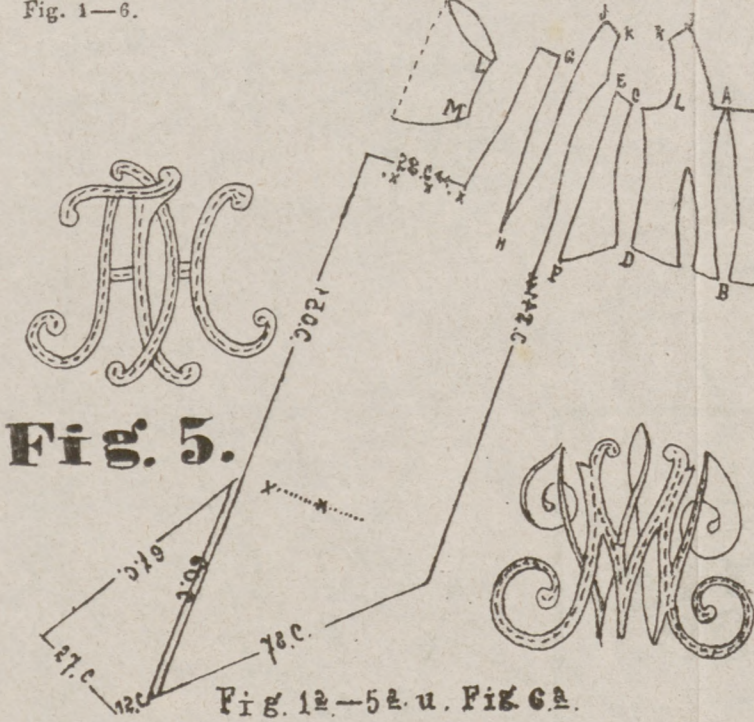
Fig. 59.

Fig. 50.

Fig. 49.



N. I. Stanik z wykresem kwadratowym krajany razem z zwierzechnym tłem, do ryc. 18 w N. 40 i do ryc. 24 w N. 41 Tygodnika MÓD.  
 Miara połowy górnej szerokości stanika 48, w pasie 30 cent.  
 Fig. 1. Pierwsza część przodu (A, B).  
 Fig. 2. Druga część przodu (A, B, C, D, I, K, L).  
 Fig. 3. Boczak (C, D, E, F).  
 Fig. 4. Pierwsza i druga część pleców z tłem (E, F, G, H, I, K).  
 Fig. 5. Zmniejszony rysunek linii połowy klina wstawionego w tło.  
 Fig. 6. Rękaw (L, M).  
 Fig. 1-6-a. Zmniejszony rysunek zestawionych części formy Fig. 1-6.



N. II. Sukienka faldowana dla dziewczynki lat 3-5 Ryc. 21 w N. 41.  
 Fig. 7. Przód (N, O, P, Q, R, W, X).  
 Fig. 8. Połowa pleców (N, O, P, Q, Y, Y').  
 Fig. 9. Rękaw (S, T, U).  
 Fig. 10. Połowa marynarskiego kołnierza (V, W).  
 Fig. 11. Kieszeń (X, Y).  
 N. III. Sukienka wycięta faldowana, dla dziewczynki lat 3-4 Ryc. 20 w N. 41 Tygodnika MÓD.  
 Fig. 12. Przód (a, b, c, d, e).  
 Fig. 13. Połowa pleców (a, b, c, d).  
 Fig. 14. Rękaw (e).  
 N. IV. Maszyczek a potrójna pelerynka dla dziewczynki lat 3-5 Ryc. 37-38 w N. 41 Tygodnika MÓD.  
 Fig. 15. Przód (e, f, g, h, v, w, x, y, z, 1, 1').  
 Fig. 16. Boczak (e, f, g, h, i, l, m, 2, 2 do X 3, 3').  
 Fig. 17. Pierwsza część pleców (i, k, l, m, n, o, p, q, w, X 4, 4 do X 5, 5').  
 Fig. 18. Druga część pleców (u, o, p, q, r, s, t, u, X 6, 6 do X 7, 7').  
 Fig. 19. Trzecia część pleców (r, s, t, u, v, X 8, 8 do X 9, 9').  
 Fig. 20. Rękaw (x, y, z).  
 Fig. 21. Połowa pelerynki dolnej z liniami oznaczającymi pelerynki górnej (\* \* \* \* \*).  
 Fig. 22. Połowa kołnierza (z, z').

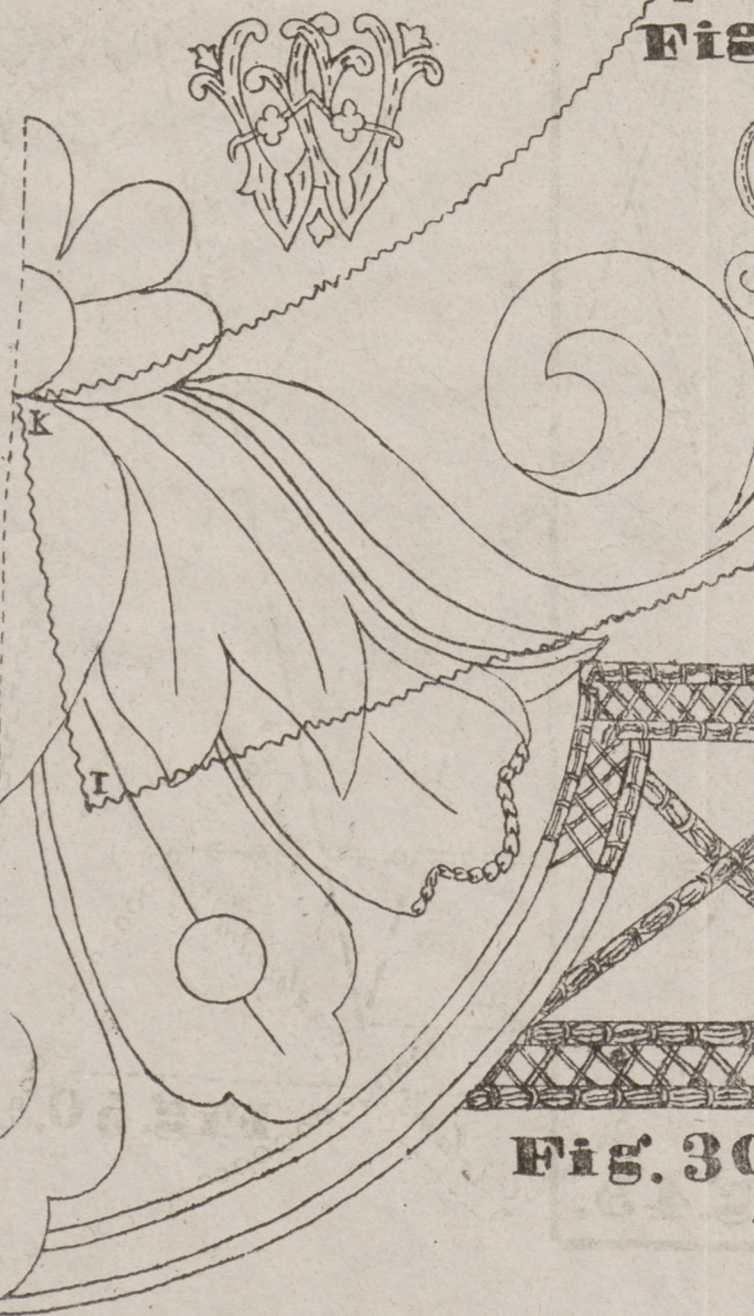
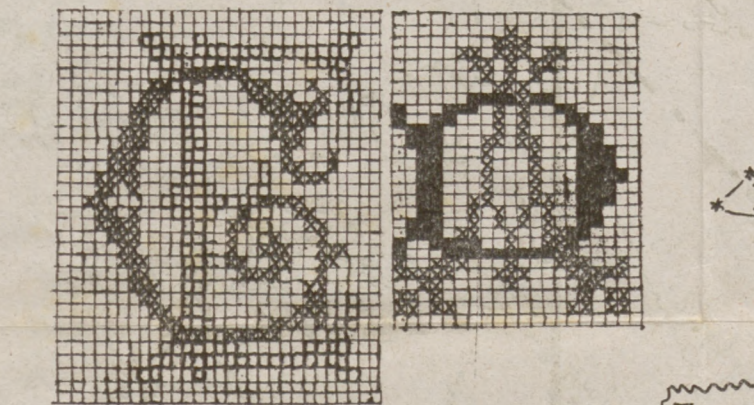


Fig. 1. Stanik z wykresem kwadratowym krajany razem z zwierzechnym tłem, do ryc. 18 w N. 40 i do ryc. 24 w N. 41 Tygodnika MÓD.  
 Miara połowy górnej szerokości stanika 48, w pasie 30 cent.  
 Fig. 1. Pierwsza część przodu (A, B).  
 Fig. 2. Druga część przodu (A, B, C, D, I, K, L).  
 Fig. 3. Boczak (C, D, E, F).  
 Fig. 4. Pierwsza i druga część pleców z tłem (E, F, G, H, I, K).  
 Fig. 5. Zmniejszony rysunek linii połowy klina wstawionego w tło.  
 Fig. 6. Rękaw (L, M).  
 Fig. 1-6-a. Zmniejszony rysunek zestawionych części formy Fig. 1-6.